

Niemcy na kozetce, czyli jak analizować i nie zwariować

Anna Kwiatkowska

Niemcy to kraj, którego nie da się analizować w pojedynkę: jest zbyt duży, zbyt wpływowy, zbyt złożony. Mimo pozornej przejrzystości – setek dokumentów, debat i procedur – pozostaje trudny do uchwycenia bez głębokiej znajomości wewnętrznych kodów: kultury politycznej, rytmu instytucji, nieformalnych reguł gry. Dla Polski to partner szczególny – nie tylko ze względu na historię oraz powiązania polityczne i gospodarcze, lecz także silne emocje, jakie wywołuje. Niemcy rzadko traktuje się jak „normalny” kraj, a eksperci, którzy się nimi zajmują, bywają odbierani jako podejrzani – zanadto bliscy albo zbyt krytyczni, zanadto zaangażowani lub zbyt chłodni.

Ten tekst to nie podręcznik akademicki ani prywatny dziennik, lecz wyimki z praktycznego przewodnika po pracy eksperckiej, opartego na wieloletnim doświadczeniu. Konkretny i zarazem osobisty, subiektywnie opisuje trudy analizowania Niemiec z perspektywy Warszawy – zwłaszcza dziś, gdy trwa szeroko zakrojona transformacja i RFN, i stosunków polsko-niemieckich.

Analizowanie polityki Niemiec to zadanie fascynujące i niezwykle trudne. Fascynujące, bo mówimy o państwie po prostu ciekawym, bogatym – i to nie tylko w historię – ale też w jakiś sposób tragicznym. Kraju, w którym przez dekady widziano filar stabilności porządku europejskiego, motor integracji i wzór demokratycznego państwa prawa. Dziś następuje jednak głębokie przeobrażenie tego wizerunku. RFN przeżywa moment przesilenia: gospodarka utknęła w stagnacji, trwająca wojna na Ukrainie obnażyła złudzenia wcześniejszego kursu (nie tylko wobec Rosji), a scena polityczna ulega tektonicznym

przekształceniom – zwiększa się siła nowych ugrupowań, pogłębia kryzys zaufania do instytucji i osłabiają partie głównego nurtu.

Właśnie ta mieszanina: wciąż ogromna siła i wpływy w Europie – ale równocześnie narastające słabości, napięcia i błędy przeszłości – czyni z tego kraju ważny, a zarazem bardzo wymagający obiekt analizy. Szczególnie dla kogoś z Polski – sąsiada, partnera gospodarczego, byłego ucznia, czasem także krytycznego recenzenta. Niemcy przyciągają powagą, złożonością i systemowością, ale dziś coraz częściej również niepokoją – z powodów politycznych i historycznych oraz kulejącej gospodarki.

W tym tekście przedstawionych zostanie zaledwie kilka aspektów kultury politycznej RFN, które – z punktu widzenia obserwacji uczestniczącej – zasadniczo wpływają na codzienną pracę analityka. Czytelnik nie pozna wszystkich tajemnic warsztatu, z trudem wypracowanych wraz z nieocenionym Zespołem zajmującym się Niemcami w Ośrodku Studiów Wschodnich. Nikt nie rości sobie też prawa do wyczerpania tematu. Kraj ten da się badać na dziesiątki sposobów, w zależności od przyjętej perspektywy, narzędzi i instytucjonalnego punktu siedzenia, lecz istnieją pewne cechy, z którymi – niezależnie od metod – prędzej czy później zetknie się każdy, kto spróbuje „czytać” Republikę Federalną. I właśnie o nich będzie mowa w drugiej części eseju, zaraz po krótkiej prezentacji państwa w duchu utworu *Deutschland* grupy Rammstein: „*Deutschland, Mein Herz in Flammen, Will dich lieben und verdammen*” (Niemcy, moje serce w płomieniach, chcę was kochać i przeklinać/potępiać) – do którego odsłuchania, wraz z przestudiowaniem słów, gorąco zachęcam.

Czytelnik dowie się, jakie przyczyny systemowe sprawiły, że mamy do czynienia z trudnym obiektem analizy: po pierwsze – na przykładzie Nord Streamu – jak Niemcy, przekonane o słuszności swoich planów, potrafią być skuteczne. Tak bardzo, że – ujmując to obrazowo – są w stanie popełnić samobójstwo, niestety rozszerzone. Po drugie uwaga zostanie skierowana na ich polityczną i medialną transparentność, rozbudowany aparat legislacyjny i bogactwo źródeł, by uznać, że z jednej strony to błogosławieństwo, a z drugiej jednak przekleństwo – bo zamiast deficytu danych mamy do czynienia z ich nadmiarem. To zaś oznacza godziny spędzone na analizowaniu dokumentów, stenogramów z Bundestagu, opinii interesariuszy, komisji i think tanków. A wcześniej rozpoznanie, nad którymi z nich warto śleć, które są „relevantne dla systemu”. I po trzecie opisana zostanie tamtejsza kultura kompromisu – sama w sobie szlachetna, ale od analityka wymagająca niekończącego się śledzenia stanowisk wszystkich stron, zanim cokolwiek da się powiedzieć z przekonaniem i wyciągnąć konkretne wnioski. Kultura czasem zabójcza dla państwa, gdyż nierzadko przynosząca paraliż decyzyjny. Na koniec w centrum zainteresowania znajdzie się specyfika tzw. berlińskiej bańki ekspertów, dziennikarzy i polityków,

którzy często tworzą zamknięty obieg opinii, replikując te same tezy i źródła. Dla kogoś z zewnątrz to środowisko bywa trudne do prześwietlenia, a jeszcze trudniejsze do przeniknięcia.

W trzeciej części odbiorca pozna kłopoty powstające w stosunkach badaczy znad Wisły ze światem eksperckim i politycznym w RFN. Będzie o tym, jak wyglądają te kontakty w praktyce – na konferencjach, w kularach, codziennej korespondencji i relacjach zawodowych. Co nas różni, co łączy, dlaczego czasem niełatwo nam się zrozumieć – i dlaczego mimo wszystko warto próbować.

Wreszcie w ostatnim rozdziale znalazła się refleksja nad tym, jak trudno być analitykiem ds. Niemiec... w Polsce. Tu są one nie tylko przedmiotem badań. Są symbolem. Upraszczając – dla jednych wzorem nowoczesnego państwa prawa i europejskiej racji stanu oraz ideałem, do którego należy dążyć, dla innych ucieleśnieniem interesów sprzecznych z polską racją stanu, a nawet trwałym obiektem nieufności i wrogości – zagrożeniem. Przez ostatnie trzy dekady dało się zaobserwować, jak łatwo u nas popaść w pułapkę bezkrytycznego zachwytu albo – wręcz przeciwnie – skrajnego resentymentu. Analityk próbujący trzymać się faktów ryzykuje w tej sytuacji, że zostanie od razu zaszufladkowany. Uniknięcie powyższej pułapki jest bardzo trudne, choć nie niewykonalne.

1. Dojczland

„Profesor Otto Gottlieb Schmock	(<i>Lieb Vaterland magst ruhig sein!</i>)
Pracuje już dziesiąty rok	Zbadać <i>noch einmal</i> plon kultury
Nad dziełem, które za tyleż lat	I na podstawie konjunktury
Przeczyta kulturalny świat:	Najnowszych studjów oraz badań,
<i>Gott, Kaiser, Deutschland und Proletariat.</i>	<i>Beitragów</i> , zdań, dociekań, zadań,
Profesor Schmock jest zdania, iż	Wyświetlić <i>gründlich</i> ; czy czasami
Niemcy – to boża stal i spiż,	(Zgodnie z wszystkimi badaniami)
Z których sam Stwórca dla swej chwały	Kraj, mimo swego dobrobytu,
Wykuł na zawsze pomnik trwały [...]	Swej niezłomności i rozkwitu,
A jednak – mimo owych prawd [...] –	Patryotyzmu, konstytucji,
Byłoby <i>nett und gut und fein</i>	Nie potrzebuje rewolucji?”

Julian Tuwim, *Rewolucja w Niemczech* (fragment), 1919

Fascynujący kraj... (*Deutschland, ich will dich lieben*)

Niemcy to kraj, który fascynuje nie tylko ze względu na swoje znaczenie polityczne czy gospodarcze. Na pierwszy rzut oka – zwłaszcza z punktu widzenia badacza – może się wydawać zbyt znany, przewidywalny, wręcz zrutynizowany. Ale im głębiej się weń wchodzi, tym bardziej wciąż: zaskakuje rozmiarem, skalą wewnętrznych kontrastów, gęstością życia

instytucjonalnego i siłą oddziaływania, które nie zawsze widać wprost. To państwo, które trzeba śledzić w trybie ciągłym – i do którego nie da się podejść z marszu ani ad hoc.

Zaczyna się niewinnie – od krajobrazów, które – choć dla analityka pozornie drugorzędne – mówią wiele o tożsamości kraju. To rzadki przykład państwa mającego dostęp do dwóch mórz oraz jednocześnie wysokich Alp. Na jego mapie mieszczą się fryzyjskie wyspy, jeziora Meklemburgii, średniowieczne miasteczka Turynгии i zagłębia przemysłowe. Gdy doda się kilkanaście parków narodowych i blisko setkę regionalnych rezerwatów przyrody, zaczyna się pojmować, dlaczego RFN przyciąga rocznie ponad 30 mln zwiedzających. A przy tym turystyka to jedynie pretekst do wejścia głębiej – prawdziwa siła tkwi w różnorodności regionalnej: w Bawarii mówi się innym niemieckim niż w Hamburgu, a Saksonia i Nadrenia różnią się nie tylko krajobrazem, lecz także stylem życia, światopoglądem, tradycją polityczną i historią.

Kolejnym źródłem fascynacji jest społeczeństwo – zróżnicowane jak mało które w Europie. Nasz zachodni sąsiad ma najwięcej mieszkańców wśród wszystkich członków Unii Europejskiej – ponad 84 mln – z czego niemal 30% to ludzie o korzeniach migracyjnych. Znaleźć tu można wszystko: supernowoczesne osiedla Berlina, wiejskie regiony Turynгии, robotnicze miasta Westfalii i wielokulturowe dzielnice Frankfurtu. A w każdym z tych miejsc działa inna kombinacja norm i wartości oraz występują inne problemy społeczne.

Do tego dochodzi scena polityczna – system federalny złożony z 16 landów, które dysponują realną władzą i często starają się realizować bardzo różne interesy. To nie państwo myślące unitarnie – to państwo, które musi negocjować swoje *modus vivendi* codziennie od nowa, bowiem federalizm nie jest wyłącznie konstytucyjnym zapisem, lecz strukturą realnie kształtującą każdą decyzję: od energetyki po edukację, a nawet bezpieczeństwo. Dla analityka oznacza to równoległe śledzenie wielu poziomów debaty, z których każdy ma swoich aktorów, źródła i dynamikę. Nie ma jednej „debaty niemieckiej” – istnieje ich wiele, a żadna nie mówi wszystkiego. Dlatego zresztą nie da się monitorować i badać Niemiec w pojedynkę.

To także kraj, który – choć przegrał dwie wojny światowe – wygrał bitwę o to, jak się o nim myśli. Polityka historyczna RFN – często pełna uproszczeń i nadal w ciągłym sporze, również ze sobą, ale przede wszystkim z innymi, w tym z Polską – imponuje jednak systematycznością i skutecznością. Niemcom udało się przekonać świat, że zinternalizowały swoją odpowiedzialność za przeszłość. Potrafiły to następnie zamienić w moralny kapitał, stanowiący dziś – obok bogactwa – jeden z fundamentów ich roli w Europie. To, że mogą mówić o wartościach i instytucjach z pozycji autorytetu, jest po części efektem ich sukcesu w zarządzaniu pamięcią. To zjawisko godne uwagi, ale i analitycznie

niebezpieczne – bo tworzy przewagę narracyjną, którą trudno podważyć, odwołując się tylko do faktów.

Lecz historia Niemiec to nie tylko tragedie XX wieku – to też warstwa architektoniczna i kulturowa, która wciąż żyje w przestrzeni. Od gotyckiej katedry w Kolonii, przez średniowieczne stare miasta Bambergu, Ratyzbony czy Quedlinburga, aż po modernistyczne eksperymenty Bauhausu i zrekonstruowane centra Berlina, Drezna i Frankfurtu nad Menem – w Niemczech architektura wyrasta na składową pamięci politycznej. Ich mieszkańcy są jednocześnie dumni z dziedzictwa i zdolni do krytycznej refleksji nad tym, co owo dziedzictwo oznacza. Przynajmniej niektórzy.

Kultura materialna RFN – rozumiana właśnie jako architektura, urbanistyka, ale też troska o dziedzictwo lokalne – stanowi istotny komponent miękkiej siły tego kraju. Bo tu się wie, że estetyka ma także znaczenie polityczne. Spacer po tamtejszych miastach to lekcja historii w ruchu: z jednej strony zabytki wpisane na listę UNESCO, z drugiej nowoczesne dzielnice i place, które – jak HafenCity w Hamburgu czy stołeczny Potsdamer Platz – pokazują, jak państwo potrafi inwestować w estetykę, funkcjonalność i planowanie przestrzeni. To nie tylko wizytówki dla turystów – to również świadome kreowanie obrazu kraju chcącego łączyć przeszłość z przyszłością, tradycję z innowacją.

Na koniec – gospodarka. Przez dekady Niemcy były wzorem do naśladowania: największy eksporter Europy, w czołówce w tej kategorii na świecie, kraj silnych firm rodzinnych (*Mittelstand*), przykład dobrze funkcjonującej edukacji dualnej i rynku pracy z niskim bezrobociem. Z nominalnym PKB sięgającym powyżej 4 bln euro zajmują dziś czwarte miejsce wśród wszystkich państw globu. Ale to, co naprawdę imponuje, to nie liczby, lecz model – opiewany jako skomplikowany, a zarazem stabilny i odporny na wstrząsy. Tamtejsza gospodarka działała jak dobrze naoliwiony mechanizm, łączący produktywność z dbałością o społeczną spójność. Wydawało się, że ten system jest nie do ruszenia. Wydawało się.

...nad przepaścią? (...und verdammen)

Ta maszyna, przez dekady odznaczająca się zegarmistrzowską precyzją, obecnie nie tylko się zacina – ona się sypie. Mimo ogromnego potencjału gospodarczego, politycznego i ludzkiego Niemcy stoją dziś w obliczu kryzysu o charakterze nie przejściowym, lecz systemowym. To nie chwilowa zadyszka – to moment, który każe pytać o to, czy model zbudowany w drugiej połowie XX wieku jest w stanie utrzymać się w realiach XXI stulecia. Coraz więcej znaków wskazuje, że nie.

Wyjątkowo przenikliwą diagnozę tego kryzysu postawił Wolfgang Münchau w książce *Kaput. Koniec niemieckiego cudu gospodarczego* – opowieści o tym, jak i dlaczego przemysłowy gigant popadł w stan zapaści. To lektura obowiązkowa

dla każdego, kto chce rozumieć gospodarkę RFN, ale i źródła aktualnego impasu politycznego i cywilizacyjnego. Pozycja ta – jak zauważa Timothy Garton Ash – bezlitośnie rozkłada na czynniki pierwsze niemiecki neomerkantylizm i ujawnia konsekwencje jego głębokiego sprzężenia z autorytarnymi partnerami – Rosją i Chinami. I choć Münchau nie zamyka furty dla tamtejszej regeneracji całkowicie, to jego werdykt wydaje się jasny: ten model się wyczerpał.

A symptomy upadku tej formuły widać wszędzie. Gospodarka RFN nie urosła od pandemii, co więcej – od dekady rozwija się ponad dwa razy wolniej niż amerykańska i prawie pięć razy wolniej niż polska. Niemcy, przez lata dumni ze swojej infrastruktury, teraz negatywnie zadziwiają Polaków stanem dróg, kolei i usług publicznych. A przecież nie tylko my dziwimy się, że wciąż używają oni faksów, wolą płacić gotówką oraz masowo skarżą się na niewydolne, niezdygitalizowane urzędy. Wszystko dlatego, że ci zdeklarowani zwolennicy dyscypliny budżetowej padli ofiarą własnego dogmatu. Polityka „fiskalnej anoreksji” sprawiła, że przez lata nie inwestowano w wystarczającym stopniu w infrastrukturę, innowacje i zdolności transformacyjne. A kolejne pokolenia technokratów – z powodu czy to swojej socjalizacji, czy wiedzy o społeczeństwie RFN, znanym z awersji do ryzyka – boją się podejmować decyzje, bo to zbyt drogie, zbyt odważne, zbyt nieprzewidywalne.

Przemysł? Przestarzały. Motoryzacja? Zostawiona w tyle przez USA i Chiny. Transformacja energetyczna? Spóźniona, kosztowna i niespójna. Odejście od energetyki jądrowej, uzależnienie od gazu z Rosji i niewystarczające nakłady na cyfryzację to dziś już nie błędy, lecz kosztowne zaniechania, których skutki odczuwają wszyscy. I to właśnie te zaniedbania – jak pisze Münchau – Niemcy zafundowały sobie same. Dobrowolnie, metodycznie, w imię świętego spokoju.

Ale kryzys w RFN to nie tylko problem przemysłu czy energetyki – to także kryzys społeczny i polityczny. Populacja się starzeje: do 2040 r. aż 9,2% Niemców osiągnie wiek ponad 80 lat. W 2035 r. luka pracownicza może sięgnąć 7 mln osób. W tym samym czasie wzrasta odsetek obywateli mających pochodzenie migracyjne – już obecnie jest ich niemal 30%, w większości młodszych, coraz widoczniejszych społecznie, a jednocześnie wciąż słabo reprezentowanych politycznie. Konflikty etniczne, napięcia kulturowe, antysemityzm – to nie marginalne bolączki, lecz element nowego pejzażu społecznego państwa.

Politycznie Niemcy są krajem coraz głębszych podziałów. Na wschodzie AfD staje się siłą dominującą, na zachodzie nadal funkcjonują tradycyjne partie, ale ich stabilność coraz częściej opiera się na kruchych koalicjach zbudowanych na strachu przed populizmem i utratą władzy. Rosnąca liczba ataków na polityków, zaostrzenie dyskursu medialnego, rozpad wspólnego języka politycznego – to wszystko dowodzi, że tamtejszy konsensus, tak długo chwalony i podziwiany, ulega erozji.

Nie pomaga też niewydolność systemu federalnego, który bardziej utrudnia, niż usprawnia podejmowanie decyzji. Przestarzała administracja, opór landów przed centralizacją i konflikty kompetencyjne widać było jak na dłoni podczas pandemii, ale da się je również zauważyć w tak fundamentalnych sferach jak cyfryzacja, ochrona zdrowia czy reforma edukacji.

Ten zbiór problemów nie składa się w żadną zwartą „katastrofę”. RFN to wciąż państwo potężne, bogate i wpływowe. Lecz jest w nim coś pękniętego – coś, co sprawia, że dotychczasowy styl zarządzania przestaje działać. Polikryzys – jak często mówi się dziś w Berlinie – nie jest już wieloogniskowym zagrożeniem z zewnątrz, ale lustrem systemowego wypalenia od środka. Nie zapominajmy jednak: Niemcy, nawet „popsute”, nadal mają ogromny potencjał i nigdy nie należy ich przedwcześnie spisywać na straty.

2. Wyimki z kultury politycznej Niemiec – kilka odpowiedzi

W kulturze politycznej każdego kraju istnieją mechanizmy, gesty i instynkty działające bezgłośnie, ale skutecznie. Bez roszczenia sobie prawa do syntezy opisano poniżej niektóre cechy tej niemieckiej oraz kilka obserwacji – subiektywnych, roboczych, lecz przydatnych w codziennej pracy eksperckiej. Nie jest to katalog cech kultury politycznej RFN, ale raczej parę odruchów analityczki, która wbrew ostrzeżeniom Bismarcka od wielu lat z bliska przygląda się, „jak się robi politykę”.

Nord Stream – samobójstwo rozszerzone

Wszystko, co wiemy o Niemczech – o ich potencjale, zasobach, instytucjach i doświadczeniu w funkcjonowaniu w UE – czyni z nich państwo teoretycznie mogące przewodzić nowoczesnej Europie. Ale to samo państwo potrafi też z niesłychaną determinacją, niemal siłą inercji, wykorzystać swoje wpływy do forsowania rozwiązań sprzecznych z logiką polityczną, strategiczną, a nawet moralną. Wbrew ostrzeżeniom i ku własnej zgubie. Chyba żaden przykład nie oddaje tego lepiej niż historia Nord Streamu. Wszyscy ją znamy, ale każdy, kto bada Niemcy, musi zapamiętać z niej, by brać pod uwagę, że często będzie miał do czynienia z partnerem głuchym na jakiegokolwiek argumenty, bo głęboko przekonany o własnej racji (misji, prawdzie, zasadach – niepotrzebne skreślić). Ten wątek rozwinę w dalszej części tekstu, tutaj zaś opowiem tylko o **skłonności niemieckiej polityki do bycia zabójczo skuteczną czy skuteczną na śmierć**.

Nord Stream – a zwłaszcza jego nitki trzecia i czwarta – to nie tylko gazociąg. To symbol uporu, a miejscami wręcz ślepoty strategicznej Berlina. Projekt, który miał być dowodem inżynierskiej sprawności i politycznej niezależności oraz strategii budowania przewag, z czasem stał się ilustracją tego, jak siła

może wypaczać rozsądek. To jednak niesamowite, że dopiero przed samą inwazją Rosji na Ukrainę w 2022 r. grono decydentów i ekspertów, którzy uważali zaangażowanie RFN w Nord Stream 2 za potężny błąd polityczny, największy od czasów zjednoczenia państwa, powoli zaczęło się powiększać. Przez lata Niemcy – niezależnie od składu koalicji rządzącej – dopychały tę inwestycję kolanem, ignorując opór państw Europy Środkowo-Wschodniej, sprzeciw Komisji Europejskiej, presję ze strony USA, a nawet sceptycyzm Francji. Każde ostrzeżenie rozbrajano w białych rękawiczkach „racjonalnymi” argumentami: że to tylko projekt gospodarczy, że niezbędny do przeprowadzenia w kraju transformacji energetycznej, że europejski, bo udział w nim bierze wiele firm z kontynentu, że Niemcy wynegocjowały gwarancje dla Ukrainy, którą przedsięwzięcie omijało, że przecież Rosja potrzebuje europejskiego rynku bardziej niż Europa rosyjskiego gazu itp., itd.

Z perspektywy czasu trudno nie widzieć w tym całego repertuaru tamtejszych technik politycznego przeciągania liny – pozornie racjonalnego, proceduralnie naciąganego. Przedstawianego jako nienaganny, ale ostatecznie głęboko niebezpiecznego i niełojalnego wobec wspólnoty, której RFN chciała przewodzić. To była dominacja ubrana w język konsultacji. Na koniec przeforsowano wszystko, co miało zostać przeforsowane. I choć Nord Streamu 2 – paradoksalnie dzięki Putinowi – nigdy nie uruchomiono, to jego koszty polityczne są dziś wyższe niż dochody z przepływu gazu. Niemcy padły ofiarą tego sukcesu, a zaufanie do nich wśród partnerów z UE i NATO zostało głęboko nadwyrężone.

Dlaczego wciąż warto pamiętać o tej cesze niemieckiej kultury politycznej, którą można nazwać „zabójczą skutecznością”? Bo historia właśnie zatacza krąg. Katastrofa Nord Streamu nie przyniosła trwałej korekty myślenia RFN o zależnościach strategicznych. Wprawdzie pojawiły się oznaki ostrożności – szczególnie wobec Chin – lecz bez zasadniczej zmiany kursu. Przeciwnie, strukturalne cechy niemieckiego modelu, takie jak wiara w sprawczą moc współzależności, presja wielkich koncernów czy lęk przed utratą pozycji mocarstwa eksportowego, pchają Berlin w kierunku powtórzenia tego samego błędu. Niemcy znowu w imię krótkoterminowych korzyści lub ze strachu brną w uzależnienie od państwa autorytarnego. Tym razem nie z braku świadomości, ale mimo niej. Być może po raz kolejny okażą się śmiertelnie skuteczni: świadomie podejmą ryzyko i obudują je językiem odpowiedzialności, po czym pociągną kogoś za sobą, rozszerzając samobójstwo. Ciekawe, kto to będzie tym razem.

Zalew informacji i kultura kompromisu

Przypadek Nord Streamu doskonale pokazuje paradoks polityki RFN – państwa nadzwyczaj zdolnego do kompromisu, a zarazem skłonnego do używania go jako broni taktycznej. Bo ów **kompromis – tamtejsza specjalność i narodowa**

duma – może w określonych warunkach służyć jako narzędzie dominacji, odwlekania decyzji, rozmywania odpowiedzialności.

Na scenie wewnętrznej najbardziej charakterystycznym przejawem owej kultury kompromisu – i być może jej najbardziej fascynującym aspektem – jest sposób, w jaki Niemcy tworzą prawo. W przeciwieństwie do wielu innych demokracji parlamentarnych proces legislacyjny w RFN rzadko ma charakter gwałtownego przesilenia. To raczej długa, rozciągnięta w czasie, precyzyjna i ostrożna procedura negocjacyjna. Tego rodzaju kompromis nie tylko cementuje wypracowane rozwiązanie, lecz także buduje jego społeczną legitymację; takie rozwiązania są trwałe. To najlepsza twarz niemieckiego stylu – cierpliwa, konsensualna, odporna na zmienność nastrojów. Gdy prawo zostaje ustanowione po długiej realnej debacie, z poszanowaniem odmiennych stanowisk, bez przemocy politycznej, nie ma powodu, by je później podważać.

Ale ten sam mechanizm, który pozwala przyjąć ważny akt prawny bez rozłamu społecznego, w innych warunkach może doprowadzić do impasu. Wystarczy prześledzić losy ustawy grzewczej z 2023 r. Początkowo projekt przewidywał szybkie rozpoczęcie odchodzenia od pieców gazowych i olejowych – był sztandarową propozycją Zielonych w rządzie Olafa Scholza, mającą potwierdzić zaangażowanie państwa w zieloną transformację. Ale zamiast być przykładem skutecznej polityki klimatycznej, stał się symbolem tego, jak niemiecki kompromis potrafi się wynaturzyć. Ustawa przeszła przez pełne spektrum miejscowego procesu decyzyjnego: od koalicyjnych sporów, przez protesty obywateli, przecieki medialne, aż po dziesiątki poprawek. Ustępstwa szły w każdym kierunku, a projekt odkładano, wstrzymywano, zmieniano. Gdy w końcu akt prawny udało się przegłosować, był już tak rozwodniony, pełen wyjątków, klauzul przejściowych, zawieszzeń i odroczeń, że nikt – ani jego zwolennicy, ani przeciwnicy – nie mógł być w pełni zadowolony. A gabinet, który miał zaprezentować zdolność do przeprowadzenia ambitnej reformy, wyszedł z tego zamieszania poturbowany i osłabiony.

Z punktu widzenia analityka oba przypadki – i ten pozytywny, i negatywny – należy uznać za typowe. A z taką odsłoną kultury politycznej musimy się liczyć na co dzień. Żeby zrozumieć, co się rzeczywiście stało z jakąkolwiek niemiecką ustawą (ale również decyzją rządu czy stanowiskiem RFN na forum międzynarodowym), nie wystarczy przeczytać jej finalnego brzmienia. Trzeba zacząć od źródeł pierwotnych: stenogramów Bundestagu, postaw organizacji branżowych, listów otwartych, petycji, komunikatów związków lokatorów, opinii eksperckich. Obejrzeć godziny debat, prześledzić poprawki, zmapować interesariuszy, zrozumieć wewnętrzne napięcia w koalicji. Dopiero wtedy – po wielodniowej żmudnej pracy z materiałem ze źródeł pierwotnych – wolno zadać właściwe pytania: o co w tej ustawie tak naprawdę chodziło i kto realnie o niej

decydował? To kluczowe: chcesz wiedzieć i wyrobić sobie własne zdanie? Media pomagają, ale jako źródło trzeciorzędne. Dziennikarze miewają bardzo ciekawe zdanie na różne tematy, lecz w ich przekazach często znajdziemy więcej opinii niż faktów. Duża część z nich powinna występować raczej w roli publicystów – ale to przecież nie tylko problem RFN.

Berlińska bańka

Niemcy stworzyły więc system, w którym decyzje mają zapadać po dojrzałej debacie z udziałem wszystkich aktorów. Lecz kiedy tych aktorów jest za dużo, a debata nigdy się nie kończy, ów system grzęźnie. A skoro już mowa o systemach zamkniętych, to nie sposób pominąć zjawiska niezwiązanego z ustawami ani innymi dokumentami, ale łatwo wyczuwalnego – zwłaszcza jeśli patrzy się z zewnątrz. (I znowu, to nie jest fenomen tylko niemiecki; na użytek tego tekstu możemy stworzyć neologizm i opisać go jako „syndrom stołeczny”). Chodzi o **„berlińską bańkę” – krąg ekspertów, dziennikarzy, lobbystów, lecz również urzędników i polityków, którzy żyją w ciągłym dialogu ze sobą nawzajem**. Wymieniają się poglądami, uczestniczą w tych samych panelach, publikują w tych samych mediach, zapraszają się nawzajem do własnych podcastów i śledzą te same wątki w tych samych mediach społecznościowych.

Z pozoru to zaleta – powstaje system wymiany poglądów, informacji, publicznego dyskursu. Ale z praktyki wiadomo, że ta „wymiana” rzadko prowadzi do rzeczywistego poszerzenia horyzontów. Przeciwnie – po pierwsze przestrzeń ta, niejednokrotnie silnie reglamentowana, często opiera się na potwierdzaniu poglądów, a nie na ich konfrontowaniu. Większość debat toczy się wewnątrz uzgodnionych ram. Mogą one być bardzo szerokie, lecz zawsze wyznacza je kod środowiskowy: co wypada powiedzieć, co się uznaje za „eksperskie”, co jest „odpowiedzialne”, a co „populistyczne”. Po drugie jakaś część tego grona doskonale wie, co spotka się ze zdecydowaną niechęcią czy aprobatą przy Werderscher Markt (siedziba MSZ) albo w Urzędzie Kanclerskim, i w tym duchu się wypowiada, zwłaszcza w obecności ekspertów z zewnątrz. Oczywiście tego typu autocenzurę stosują daleko nie wszyscy, ale należy zdać sobie sprawę z jej istnienia.

Taki stan rzeczy prowadzi do dwóch problemów. Po pierwsze to, co dociera do nas z Berlina, na ogół nie jest rzeczywistą reprezentacją debat toczących się w społeczeństwie niemieckim, lecz raczej echem głosów elit polityczno-eksperskich. To echo bywa spójne, ale też zaskakująco oderwane od nastrojów w landach, na prowincji, w kręgach robotniczych czy imigranckich albo wśród urzędników zajmujących się danym zagadnieniem – np. migracją – na co dzień.

Po drugie „bańka” broni się przed spojrzeniem z zewnątrz (notabene nawet tym rodzimym, niemieckim). Ma swoje ulubione źródła, swoich komentatorów,

swoje zakresy cytowań. Gdy ktoś przychodzi do niej z zagranicy – nawet z Francji czy USA, a już na pewno z Polski – musi długo udowadniać, że „rozumie kontekst”. Najlepiej zresztą, jeśli ktoś z wewnątrz wprowadzi go jako „rozumiejącego”.

Oznacza to, że często najważniejsze pytania nie zostają zadane. Bo nie są zgodne z tonem. Bo są za ostre. Bo burzą atmosferę zgody. Przebicie się z własną ekspertyzą wymaga zatem nie tylko kompetencji, lecz także cierpliwości, czasu i znajomości kodu kulturowego. Nie wystarczy mieć wiedzę – trzeba jeszcze wiedzieć, jak ją sprzedać. Dobrze, żeby nie była ona zbyt konfrontacyjna, zbyt inna, np. zbyt „wschodnia”, zbyt emocjonalna. Im chętniej zgodzisz się mówić językiem środowiska – najlepiej „po niemiecku niemieckim”, a nie tylko po niemiecku – tym chętniej zostaniesz wysłuchany.

Z taką obserwacją nie spotykamy się zresztą tylko nad Wisłą. Brytyjski analityk Hans Kundnani, przez lata krytykujący zewnętrzne zorientowanie polityki RFN, opisał również mechanizm samoobrony i amnezji niemieckiego środowiska eksperckiego. Ostatnio pochylił się nad przypadkiem inwazji Rosji na Ukrainę. Po 2022 r. – pisze Kundnani – niemieccy badacze zaczęli zachowywać się tak, jakby zawsze popierali pełne wsparcie militarne dla Kijowa. Tymczasem przed wojną większość z nich była temu przeciwna. Teraz, zamiast przyznać się do błędów, przedstawiają się jako racjonalnych, neutralnych i „pozbawionych interesów”, co – jak ironicznie zauważa autor – łatwiej dałoby się zaakceptować, gdyby z równym zaangażowaniem mówili choćby o konflikcie w Gazie. Kundnani trafnie identyfikuje ten mechanizm jako próbę politycznego samouświęcenia tego środowiska, które najpierw blokowało ostrzeżenia, potem broniło starych układów, a dziś kreuje się na nowych liderów „moralnej przebudowy”. To nie wyłącznie przejaw hipokryzji – to ostrzeżenie przed tym, jak silna i odporna na krytykę potrafi być „berlińska bańka” wiedzy i wpływu.

To wszystko sprawia, że analiza polityki niemieckiej to często praca niewdzięczna. Badacza powinno interesować to, co efektywne i oddziałujące, a zarazem kontestowane. A tego dowie się nie z komunikatu think tanku w dzielnicy rządowej, lecz z rozmowy z lokalnym działaczem w Saksonii, z tekstu regionalnej gazety z Hesji albo – coraz częściej – z analiz zagranicznych, próbujących przebić niemiecki filtr samozadowolenia. Dlatego tak ważną rolę odgrywa wychodzenie poza stolicę – fizycznie i poznawczo. To właśnie w trakcie wielu delegacji i spotkań w różnych landach – Bawarii, Brandenburgii, Saksonii – można się spotkać z autentyczną otwartością na dyskusję. Partnerzy – miejscowi politycy, urzędnicy, dziennikarze, naukowcy – nie tylko są gotowi wysłuchać opinii z zewnątrz, lecz także wyrażają ciekawość, a niekiedy wręcz wdzięczność za możliwość spojrzenia na ojczyznę oczami sąsiada. To nie wyłącznie grzecznościowe gesty. To prawdziwa chęć dowiedzenia się,

jak Niemcy odbiera się w Polsce, jak ich politykę odbierają ludzie z drugiego brzegu Odry, co budzi ich niepokój, co szacunek, a co niezrozumienie. Zdarza się, że spotkania przeciągają się, bo partnerzy pragną „zajrzeć w lustro”, którego często brakuje im wewnątrz własnej debaty. To doświadczenie uczy, że im dalej od Berlina, tym bliżej rzeczywistości i tym większa gotowość do uczciwej rozmowy, wolnej od rytualnych kodów środowiskowych. W Niemczech, tak jak w tamtejszych kompromisach, prawda nie leży pośrodku – leży tam, gdzie nikt nie chce spojrzeć zbyt uważnie.

Tu jeszcze uwaga na marginesie – choć kluczowa dla tych, którzy mają ambicje oddziaływania na kształt debaty w Niemczech, ale i na decyzje polityczne tam podejmowane. Na eksperckiej i doradczej mapie RFN nie brakuje instytucji o imponującym dorobku, znakomitym zapleczu badawczym i bardzo wysokich standardach analitycznych, od think tanków po instytuty doradzające administracji federalnej czy Bundestagowi. Dyskusje ze specjalistami z tego kraju to intelektualna przyjemność, źródło wiedzy i inspiracji – warto je prowadzić, warto ich słuchać. Lecz nie warto się oszukiwać: wpływ tej warstwy na realne decyzje i działania, zwłaszcza w zakresie polityki zagranicznej, jest ograniczony. Bo Niemcami – również w polityce europejskiej i bezpieczeństwa – rządzi Urząd Kanclerski. I to nie jako rozbudowana instytucja, lecz wąskie grono ludzi skupionych wokół kanclerza. Chcesz mieć realną wiedzę, oddziaływać na decyzje? Musisz dostać się do tego grona – lub przynajmniej do doradców tych doradców. A i to może nie wystarczyć. Byli kanclerze, którzy nie czytali analiz, nie ufali konsyliom. Choćby Helmut Kohl czy Gerhard Schröder byli znani z tego, że bardziej wierzyli bliskim doradcom – i to czasem nieformalnym – niż opiniom jakichś instytutów czy ministerstw.

3. Twarzą w twarz z Berlinem

Wyjdźmy teraz z łoży VIP i wróćmy do skromniejszej figury eksperta ds. RFN. Jak już udowodniono, praca tych, którzy zamierzają z Niemcami współpracować, dyskutować, a niekiedy się nie zgadzać – to nie tylko zadanie intelektualne, lecz także wyzwanie emocjonalne, komunikacyjne i taktyczne. Trzeba znać kontekst, ale też mieć odwagę, by ten kontekst zakwestionować. Trzeba rozumieć mechanizmy, ale nie dać się im wchłonąć. Trzeba słuchać, ale i nie bać się mówić rzeczy trudnych. A przede wszystkim – trzeba nauczyć się być obecnym w debacie, która nie została dla ciebie zaprojektowana.

Właśnie o tym będzie ta część: o pracy w dialogu – i sporze – z Niemcami. O byciu analitykiem, który zajmuje się tym krajem, a zarazem uczestniczy w miejscowym dyskursie eksperckim i politycznym. I o tym, jak wygląda ta relacja, gdy nie pochodzisz z Waszyngtonu, Brukseli czy Paryża – tylko z Warszawy.

Nie da się stworzyć kompletnego podręcznika obsługi dla eksperta do spraw RFN. Część wiedzy jest tak subtelna, że nieprzekładalna, a część – zbyt cenna, by ją zdradzać. Ale można się pokusić o coś w rodzaju roboczych zasad pozwalających przetrwać, zrozumieć i zachować własny głos. Opisy tych reguł trochę przerysowano, by czytelnik mógł w pełni i bez niuansów pojąć ich moc. Trzy z nich powtarzają się niepokojąco często – niezależnie od tego, czy rozmawiasz z deputowanym do Bundestagu, pracownikiem renomowanego instytutu, dziennikarzem opiniotwórczego tygodnika czy badaczem z fundacji partyjnej.

Rozmowa kontrolowana

W niemieckim świecie eksperckim – niezależnie od szczebla dyskusji – nie ma miejsca na improwizację. Jeśli nie wiesz dokładnie, czego chcesz się dowiedzieć, nie masz pod ręką dokumentu, na który się powołujesz, nazwiska, daty, cytatu – rozmowy nie będzie. A na pewno nie na poziomie, który cię usatysfakcjonuje. Usłyszysz grzeczne „nie jestem kompetentny”, „proszę napisać mail”, „nie pamiętam”. Dopiero kiedy interlokutor zorientuje się, że siedzisz głęboko w temacie, istnieje szansa, że się otworzy. Może podzieli się informacjami, skomentuje i wskaże ciekawe tropy. Nawet wtedy trzeba jednak pamiętać, że dysputa z Niemcem to zawsze trochę wywiad środowiskowy – z ciebie też wyciąga się dane. Czasem proces ten wygląda jak partnerska wymiana, ale w praktyce następuje właśnie delikatne i profesjonalne pozyskiwanie informacji. Jeśli się nie zorientujesz – dość jednostronne.

I jeszcze jedno: nie licz na to, że autochtoni będą szczególnie chętni, by rozmawiać... o RFN. Tak, to zaskakujące, ale typowe. Państwo słynące z transparentności i autoanalizy w praktyce traktuje samo siebie jako już przeanalizowane. Problemy – jak wiadomo – leżą gdzie indziej. USA, brexit, Orbán, Trump, migracje, sztuczna inteligencja, Polska... Ale o sytuacji w Saksonii? O przemocy w rodzimej polityce? O bólach mediów czy sądownictwa? Po co? Gdy próbujesz zauważyć, że to Niemcy mogą stać się źródłem poważnego kryzysu europejskiego, że to ich problemy z migracją, populistami czy gospodarką generują większe obawy wśród sąsiadów, nierzadko spotykasz się ze zdziwieniem i oporem. To się aktualnie zmienia, ale jeszcze niedawno wskazywanie, że potencjał RFN jako *troublemakera* dla Starego Kontynentu zwiększa się, i prośbę o dialog na ten temat uznawano za faux pas.

Made in Germany – zawsze chodzi o nas

To jedna z najbardziej charakterystycznych i zarazem najtrudniejszych spraw: niemieccy rozmówcy – niezależnie od stanowiska i erudycji – bardzo często uważają swój sposób myślenia o świecie za najlepszy z możliwych. Nie wskutek arogancji. Przeciwnie – najczęściej są uprzejmi, rzeczowi, otwarci. Ale zakładają,

że ich perspektywa – uwarunkowana kompromisem, normą i poparta dziesiątkami zleconych ekspertyz – to coś obiektywnego, neutralnego i przez to uniwersalnego. Jeśli się z nią nie zgadzasz, być może jeszcze jej nie rozumiesz, być może trzeba ci ją lepiej wyjaśnić. Może nie dojrzałeś. A jeśli nadal nie chcesz przyjąć ich punktu widzenia, zaczynają przypuszczać, że to przez twoją politykę wewnętrzną, historię, położenie geograficzne.

To dlatego co rusz zdarza się, że Niemcy rozmawiają z tobą tak, jakbyś może i był jednym z nich, lecz jeszcze nie do końca przeszkolonym. I stale próbują zagarniać innych do własnego świata – oraz jego traum i kłopotów. Jeśli u siebie mają problem z pojęciem patriotyzmu, bo kojarzy im się z nacjonalizmem, to zakładają, że każdy, kto mówi o patriotyzmie, jest nacjonalistą. Jeśli mają nierozliczone relacje z Rosją, wynikające z historii albo zależności energetycznych, to wychodzą z założenia, że wszystkie inne kraje też powinny mieć do niej „specjalny stosunek”. I jeśli ustalili między sobą, że w polityce historycznej należy się pokajać i przepracować grzechy przeszłości, to w zgodzie z tym modelem mają działać wszyscy. A że nie każdy ma na sumieniu zorganizowanie Holocaustu i przemysłową zagładę ludzi? Cóż, nie istnieją narody bez winy, więc zawsze znajdzie się coś do „przewyciężenia”. Nie należy zatem skupiać się na czczeniu własnych bohaterów i ofiar, bo to zbyt narcystyczne i zbyt nacjonalistyczne.

Mechanizm ten ulega jeszcze pogłębieniu na skutek tego, że Niemcy najczęściej naprawdę niewiele wiedzą o Polsce. Nie dysponują wystarczającymi pojęciami, danymi, znajomościami, językiem. Nie dlatego że nie chcą, ale dlatego że nie potrzebują. Wybierają sobie tutaj od dziesiątków lat grono interlokutorów spośród ludzi o podobnych do nich poglądach, niemal awatarów, i to z nimi dyskutują. I nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie niemieckie założenie (marzenie?), że oto mają do czynienia z przedstawicielami całego społeczeństwa polskiego. To działanie racjonalne, bezpieczne, przyjemne i potwierdzające obraz świata, ale tylko na krótką metę. W dłuższej perspektywie skutkujące natomiast zadziwieniem, że sytuacja nad Wisłą nie rozwinęła się tak, jak prognozowali interlokutorzy. I to nie raz, tylko wciąż. Ci, którzy przekazują partnerom z RFN coś mniej przewidywalnego, trudniejszego w percepcji, niepokojącego – są tolerowani, ale nie słuchani. Słyszysz się ich, ale nie prowadzi z nimi realnego dialogu. To nie tyle selekcja polityczna, ile selekcja poznawcza. W efekcie w debacie uczestniczą głównie ci, którzy do Niemców mówią „po niemiecku” – językiem norm, obaw i potrzeb tamtejszych elit. I to oni stają się reprezentacją całego kraju, co samo w sobie jest nieporozumieniem.

To się oczywiście powoli zmienia, a zasługę należy przypisać rozwojowi Polski oraz zmieniającemu się na gorsze otoczeniu międzynarodowemu. W końcu przyjdzie moment, kiedy niemiecka klasa polityczna uzna, że warto (opłaca się)

zainteresować się na poważnie Polską, i będzie kumulowała realną wiedzę na jej temat, a nawet powstaną specjalizujące się w tym ośrodki badawcze. Nastąpi to wówczas, gdy staniemy się jeśli nie niezbędni, to przynajmniej przydatni do prowadzenia polityki, interesów itp.

Proces ten będzie trwał bardzo długo – w końcu chodzi o przewrót tożsamościowy w Niemczech. I może przyspieszyć tylko dzięki Polakom i ich polityce. Dzięki kontynuowaniu wzrostu gospodarczego, umacnianiu własnych instytucji i zwiększaniu znaczenia na arenie zagranicznej przestaniemy być postrzegani (jak i cała Europa Środkowa) jedynie jako solidne i wiarygodne zaplecze gospodarcze bez uprawnionych ambicji w polityce międzynarodowej. Region, który po wsze czasy ma służyć głównie do ograniczania kosztów produkcji, niwelowania braku wykwalifikowanych pracowników i sprzedaży rodzimych produktów.

Syndrom wyparcia – walka o urealnienie

I wreszcie ten najtrudniejszy wymiar. Niemiecki **syndrom wyparcia** to zjawisko wielowymiarowe. Ma twarz polityka, który nie widzi błędu w swoim postępowaniu wobec Rosji. Ma twarz eksperta, który po latach usprawiedliwień mówi dziś o dostawach broni na Ukrainę, jakby sam je wymyślił. Ma twarz ludzi stawiających polskiemu analitykom zarzuty „braku niezależności”, choć to w instytucjach badawczych doradzających administracji i legislaturze RFN są analitycy paradytujący z partyjnymi książeczkami.

Przed wszystkim zaś syndrom wyparcia to uporczywe, często elegancko zamaskowane unikanie odpowiedzialności. Dotyczy i przeszłości (m.in. Rosja, gaz, Nord Stream, polityka oszczędności), i teraźniejszości (rozmowy o relacjach bilateralnych, o racjonalnej polityce energetycznej itd.). Winy nie ma – są okoliczności. Decyzje były rozsądne – tylko rzeczywistość się zmieniła. Angela Merkel nie popełniła błędu – po prostu miała przed oczami inny horyzont. W autobiografii nie przyznaje się do pomyłek. W książce *Freiheit. Erinnerungen 1954–2021* opowiada o wyborach, których dokonywała, w tonie pewności i spokoju. Ani Nord Stream, ani blokowanie pomocy wojskowej dla Kijowa, ani niechęć do natowskiego odstraszenia nie są dla niej błędami, lecz rezultatami starannego, odpowiedzialnego kompromisu. Tak długo wypracowywanego, że jakakolwiek jego korekta wygląda na herezję.

Tu wracamy do zjawiska już opisanego: miejscowa kultura kompromisu, często imponująca w wymiarze wewnętrznym, w kontaktach międzynarodowych przybiera niekiedy formę misji. Przekonanie o własnej racjonalności, ostrożności i procedurach – budowane latami – przekształca się w poczucie wyższości epistemicznej. Skoro my tyle dyskutowaliśmy, tylu wysłuchaliśmy, tyle raportów przeczytaliśmy i tak długo uzgadnialiśmy stanowisko – to znaczy, że ono jest dobre nie tylko dla nas, lecz także dla was.

To przekonanie wyraża się zwykle subtelnie, choć jednoznacznie. W rozmowach Niemcy sugerują, że ich poczynania są „pragmatyczne”, a twoje – „emocjonalne”. Że oni patrzą w przyszłość, a ty tkwisz w przeszłości. Że oni chcą kompromisu, a ich „kompromisy” – jak Nord Stream, jak *Energiewende*, jak wyłączenie atomu – są merytoryczne, a twoje ostrzeżenia – polityczne. Że twoja krytyka to wynik wewnętrznej walki politycznej, a ich strategia – refleksji i doświadczenia.

A jeśli stosunki z RP są złe, to przecież dlatego że tam „władza się zmienia”, „retoryka się zaostrza”, „opinia publiczna jest spolaryzowana”. W skrócie: za złe relacje z Polską odpowiada polska polityka wewnętrzna. Za krytykę polityki niemieckiej – propaganda. Za rozczarowanie partnerstwem – brak zaangażowania z naszej strony. Rzadko – bardzo rzadko – przychodzi refleksja: a może to my coś zrobiliśmy źle?

I znów – tego mechanizmu nie stosują względem „równych”. Gdy spotykają się z Francuzami, pozwalają sobie na spór. Z Amerykanami – na ustępstwa. Ale z Polską? Próbuja cię zagarnąć do swojego świata, swoich ram poznawczych. A jeśli się nie dajesz, to w najlepszym wypadku uważają, że jeszcze do tego nie dojrzałeś, a w najgorszym – że zwyczajnie jesteś upolityczniony.

Czy w takim środowisku da się coś zdziałać? Da się, ale trzeba dysponować nie tylko wiedzą, lecz także odpornością psychiczną, orientacją kulturową i precyzją języka. Trzeba nie tylko rozumieć Niemców, lecz także nie bać się im czegoś powiedzieć. Wprost, z szacunkiem, ale i jasno. I trzeba pamiętać: w tej dyskusji jesteś potrzebny – właśnie dlatego, że jesteś z Warszawy, a nie z Brukseli. I właśnie dlatego – kiedy ktoś z Polski decyduje się ową dyskusję podważyć – musi być gotowy na wszystko. Bo krytyka to nie tylko ryzyko intelektualne. To wejście w konflikt z systemem, który sam siebie uznał za nieomylny, a w dodatku ma silne zapędy do uprawiania pedagogiki.

W takim systemie trudno się przebić, a jeszcze trudniej z nim polemizować. Ale poznanie i zakłócanie go to elementy misji zawodowej. Nie musisz się zgadzać na to, by niemieccy rozmówcy wykorzystywali twoją wiedzę jedynie jako pomoc w uporządkowywaniu ich świata, bez prawa do jego zakwestionowania.

4. Mission (im)possible.

Jak być analitykiem do spraw Niemiec w Polsce

Bycie analitykiem do spraw RFN nad Wisłą to nie tylko zawód – to stan umysłu. A czasem też stan obłączenia. Szczególnie dziś, w kraju, gdzie polaryzacja dotyka niemal każdą sferę życia – również politykę zagraniczną i bezpieczeństwa. O ile wobec Rosji i USA (choć w tym drugim przypadku zmienia się to dosłownie na naszych oczach) mamy – przynajmniej deklaracyjną – zgodę, a UE trudno

jeszcze używać do pełnowymiarowej polaryzacji, bo sondaże nie pozostawiają wątpliwości, że Polacy są proeuropejscy, o tyle sytuację z Niemcami należy uznać za wyjątkową z kilku powodów. Dlaczego zatem nasi zachodni sąsiedzi budzą takie emocje?

Po pierwsze przez ostatnie dziesięciolecie, licząc od aneksji Krymu przez Rosję, popełniali coraz poważniejsze błędy strategiczne w polityce i gospodarce oraz wykazywali się strategiczną ślepotą i coraz bardziej tracili w Polsce (i nie tylko) wiarygodność. Jakby koniecznie chcieli udowodnić, że są bezdusznym państwem kupieckim bezwzględnie forsującym swoje polityczne, a przede wszystkim ekonomiczne interesy. Egoiści praktykujący gospodarczy nacjonalizm, depczący interesy sąsiadów, z frazesami o wyższości dyplomacji i paacyfizmu na ustach, coraz bardziej zadziwiali, potem frustrowali, a na końcu obracali przeciwko sobie najzagorzalszych zwolenników i partnerów.

Po drugie opisana już w tekście niechęć do przyznawania się do błędów, przekonanie o własnej racjonalności oraz głęboko zinternalizowane przeświadczenie o rozliczeniu się z historycznymi winami, także względem Polaków, wbrew oczywistym faktom, raczej pomagają tym, którzy widzą w Niemczech wyłącznie wroga, a szkodzą mającym nadzieję na współpracę. A do obniżenia poziomu negatywnych emocji nie przyczynia się to, że obraz wroga jest w niektórych środowiskach nad Wisłą bezwzględnie – i przeciwnie do punktu widzenia naszej polityki zagranicznej – eksploatowany.

Po trzecie mimo że wzajemne stosunki silnie spaja kooperacja gospodarcza (RFN pozostaje najważniejszym partnerem handlowym i inwestycyjnym RP) i wynikający z niej nacisk obu państw na konkurencyjność i efektywność gospodarczą UE, to jednocześnie coraz częściej realnie konkurujemy z sąsiadem w logistyce, elektromobilności czy zabiegach o inwestycje zagraniczne w dziedzinie nowoczesnych technologii. Dlatego ze szczególną uwagą śledzimy jego działania, które zbiorczo można nazwać „renacjonalizacją narzędzi wspierania gospodarki”. W czasie ostatnich kryzysów Niemcy w największym stopniu korzystały z opcji zwiększenia pomocy publicznej dla własnych przedsiębiorstw ze środków unijnych i nie zamierzają rezygnować z takiego specjalnego traktowania, np. w sferze subsydiowania energii dla swojego przemysłu.

Po czwarte wreszcie: Berlin i Warszawa obiektywnie reprezentują odmienne poziomy i kierunki rozwoju oraz dokonywały odmiennych politycznych wyborów, co sprawia, że różniliśmy się i będziemy się różnić w kilku zasadniczych sprawach: podejścia do integracji UE, w tym kwestii euro, w polityce migracyjnej, energetycznej, pamięci oraz – w mniejszym stopniu – polityce bezpieczeństwa i obrony. Ani Niemcy, ani Polska nie mają zamiaru poniechać realizacji własnych celów, w tym na scenie europejskiej i międzynarodowej, co oczywiście prowadzi do konfrontacji na wielu polach. RFN, przez ostatnie

30 lat przyzwyczajona do zależnego rozwoju Polski, tj. takiego, który może w ogromnym stopniu kontrolować, ma trudności z pogodzeniem się z nową sytuacją.

Ale istnieje też inny powód tej emocjonalnej sinusoidy, notabene niebędącej udziałem większości społeczeństwa polskiego, obojętnej w stosunku do Niemiec. To nasze zawyżone oczekiwania lub obawy. Jedni od lat spodziewali się od RFN wielkiej przyjaźni, wyrazów solidarności, wzorowego partnerstwa, gotowości do przepraszania, przyznawania racji i pełnego zrozumienia polskiej wrażliwości. Drudzy odwrotnie – oczekiwali ogromnej niechęci, a nawet wrogości. I właśnie dlatego jedni przeżywają teraz trudne do okiełznania rozczarowanie, a drudzy – spełnione proroctwo. Jedni projektują państwo idealne, drudzy – demony. I jedni, i drudzy pułdają.

Bo Niemcy – te prawdziwe – nigdy nie były idealne. Były jak inni: chciały w pierwszej kolejności realizować własne interesy, ale retorycznie tego nie zdradzały. Idealizowanie ich w Polsce, zwłaszcza w latach 90., gdy Zachód stał się synonimem dobra i aspiracji, stworzyło nierówną matrycę. Kiedy wahało się w drugą stronę – co jest zjawiskiem naturalnym – każda słabość, każde potknięcie Berlina katalizowały zawód. A niekiedy – wrogość. I tak to trwa, ale z urealnienia jednego z wyobrażeń lat 90. można i należy się cieszyć: Niemcy nie były i nie są dla nas bezalternatywne. Nie jesteśmy na siebie skazani. Dziś możemy **wybrać** oraz **podjąć świadomą decyzję o partnerstwie** i współpracy z nimi.

Co najmniej od momentu, kiedy Polska wstąpiła do UE, powinna była rozpocząć się bardziej dojrzała, krytyczna analiza naszego zachodniego sąsiada. Takiej ekspertyzy uczono analityków powstałego w 2005 r. Zespołu Niemieckiego w Ośrodku Studiów Wschodnich: obiektywnej, opartej na faktach, na dokumentach, na źródłach, przeprowadzanej w terenie, a nie tylko zza biurka. Bez ukłonów ani w jedną, ani w drugą stronę. Zadanie polegało na pokazywaniu rzeczy takimi, jakie są – często na przekór entuzjazmowi innych komentatorów, w tym badaczy tematu i elity intelektualnej. Ze zdziwieniem i nieprzychylnością, ale często również z wdzięcznością i ulgą spotykało się pisanie w OSW o Unii nie w superlatywach, lecz jako o arenie ciężkiej walki o władzę, wpływy i pieniądze. Tak jak monitorowanie i analizowanie polityki RFN bez „rozumienia” czy to jej uległości wobec Rosji, konieczności powstania Nord Streamu i naginania reguł unijnych dla własnych korzyści, czy to hipokryzji w relacjach bilateralnych i poczucia wzorowego rozliczenia z historią.

Takie analizy były przez decydentów – różnych opcji, od lewa do prawa – pożądane i wykorzystywane, ale w świecie eksperckim i polskiej publicystyce marginalizowane – tak jak i w Niemczech – a autorów odbierano jako tych „krytycznych”, „trudnych” i niekiedy po prostu ignorowano.

Dziś ci, którzy niegdyś byli zakochani w Niemczech bez opamiętania, przesunęli się ku środkowi debaty i zaczęli dopuszczać krytykę. Ci krytyczni – zradyzowali się. A analitycy OSW bez zmiany poglądów, metody czy tonu wypowiedzenia się nagle stali się ekspertami umiarkowanymi. Jest to moment, w którym z nieukrywaną satysfakcją należy się rozsmakowywać.

Po 20 latach pracy Zespołu Niemieckiego w OSW można śmiało stwierdzić, że analizowanie i badanie RFN to kwestia nie tylko wiedzy, lecz także odwagi i nieustannego uczenia się siebie nawzajem. Na kolejne dekady celem niech będzie dążenie do urealnienia polskiej debaty i zrozumienia faktu, że Niemcy nie są ani wyidealizowanym wzorcem, ani reinkarnacją koszmaru z przeszłości. Że są po prostu państwem – bardzo ważnym, wpływowym, ale też niewolnym od błędów, ograniczeń i prącem do realizacji własnych interesów. Państwem, z którym można i trzeba zarówno ostro rywalizować, jak i współpracować.